

Złotousty

W poniedziałek 14 kwietnia pożegnaliśmy **Mariana Glinkowskiego**, reżysera, animator życia teatralnego, wychowawcę i mentora kilku pokoleń łódzkiej sceny alternatywnej. Wspominają go jego wychowankowie - **przyjaciele z Teatru Kilku Osób**.

W sobotę 5 kwietnia zmarł Marian Glinkowski. Odszedł ktoś niezwykle dla nas ważny. Od soboty rozmawiamy o Marianie. Każdy z nas zapamiętał go trochę inaczej. Dla mnie to prawie 19 lat wspólnej pracy zawodowej – wyprawy teatralne, festiwale i przeglądy, codzienne rozmowy i niezliczone anegdoty, którymi rozbawiał do łez. Bo przecież wszyscy, którzy znali Mariana, wiedzą, że potrafił opowiadać jak nikt inny. Każde słowo w jego opowieści błyszczało, a on sam bardzo lubił mówić. Nazywaliśmy go „złotousty”.

Mariana poznałam we wrześniu 1995 roku, kiedy przyjmował mnie do pracy w Ośrodku Teatralnym Łódzkiego Domu Kultury. Doskonale pamiętam tamte emocje. Ja, świeżo upieczona studentka kulturoznawstwa, miałam zacząć pracę z człowiekiem, którego znałam wyłącznie jako dyrektora Łódzkich Spotkań Teatralnych. Był ciepły, słoneczny dzień, czekałam przed drzwiami pokoju 315, przestępując z nogi na nogę, układając sobie w głowie różne scenariusze tej pierwszej rozmowy. W końcu zebrałam się na odwagę i zapukałam. Okazało się, że jeszcze go nie ma. Na moment odetchnęłam z ulgą. Uff! Mam jeszcze kilka minut, żeby się uspokoić. I wtedy na korytarzu pojawił się Marian, z rozwianym włosiem, okularami zsuniętymi na czubek nosa i torbą wypchaną skarbmami. Tamtego dnia były to wielkie słuchawki z radiem tranzystorowym w środku. Chwilę później dowiedziałam się, że to Marianowe „przydasie” (wciąż kupował mnóstwo niepotrzebnych rzeczy, które miały się przydać w bliżej nieokreślonej przyszłości), znalezione na Bałuckim Rynku. Słuchawki działały może jeden dzień, ale radość była tak wielka, że wspólnie z nim cieszyliśmy się jak dzieci.

Właśnie tak wyglądał początek mojej pracy z Marianem. Człowiekiem, który potrafił cieszyć się drobiazgami, kochał i afirmował życie każdym, nawet najdrobniejszym gestem. Ta radość życia zjednywała mu ludzi, zarażała jak ptasia grypa. Dla mnie, zbyt poważnej i aspołecznej, świeżo upieczonej magistrantki taka postawa była czymś absolutnie niezwykłym. Marian często powtarzał, że jestem poważna jak włoska opera. Uparcie próbował uczyć mnie swobody i zabawy słowem. Od Mariana nauczyłam się wszystkiego, co wiem o teatrze. Świadomie czy nie – Marian zasiał we mnie miłość do teatru, a także przekonanie, że scena to szczególne miejsce, gdzie za pomocą metafory opowiada się istotne rzeczy o świecie i ludziach. Przez wszystkie lata wspólnej pracy był dla mnie autorytetem i wsparciem. Mogę śmiało powiedzieć, że Marian mi „tatował”, roztaczając nade mną parasol ochronny. Zresztą to poczucie siły, wyjątkowości, opieki dawał całemu Teatrowi Kilku Osób. Mimo że wszyscy jesteśmy amatorami, był z nas dumny. I miał odwagę, żeby walczyć o naszą pozycję, nawet wbrew tak zwanemu środowisku. Był zawsze blisko nas, nie tylko w materii teatru, ale też towarzyszył nam w prywatnym życiu. Chętnie opowiadaliśmy o swoich radościach i kłopotach, wiedząc, że nie będzie nas oceniał ani krytykował. Był autorytetem z ludzką twarzą. Prowadził nas przez życie i teatr mądrze, z uwagą. Uczył, ale bez dydaktycznego smrodku i zadęcia. Po prostu chciało się go słuchać.

Joanna Pyziak

Dzięki Marianowi czuliśmy, że robimy coś wyjątkowego i że jesteśmy artystami. Motywował nas do pracy w specyficzny dla siebie, figlarny sposób. Przemkowi – mistrzowi pauz powtarzał, że dobry

aktor musi być bezczelny, Madzi - tancerce, że „jest lekko zardzewiałą aktorką dramatyczną”, Mireczkowi, który komponował muzykę do naszych spektakli, że „zrobił całkiem udatne plumkanie”. A mnie, że jestem zbyt akurata. Gdy teraz o tym myślę, to czuję, że chwilami wierzył w nas bardziej niż my wierzyliśmy w siebie.

Żartowaliśmy, że ma szeroki kanał kontaktu z kosmosem i zawsze jest kilka kroków przed nami. Zupełnie jakby wcześniej wiedział o nowych kierunkach w teatrze. Wprowadzał je intuicyjnie, widząc drzemiący w nich potencjał, zanim dostrzegli to inni. Tak właśnie na Łódzkich Spotkaniach Teatralnych pojawiły się teatry tańca. Zapraszał grupy wcześniej identyfikowane wyłącznie z tańcem, pokazując je w zupełnie nowym kontekście znaczeniowym. I choć podśmiewał się z martwych twarzy tancerzy, z tego, jak obciążają palce, przeczuwał, że pod tym skodyfikowanym systemem znaków ruchowych kryje się pełnokrwisty teatr. Miał rację, ruch stał się teatrem. Tak było też w naszych spektaklach. Taniec Madzi nie był tylko pięknym, ale pustym znaczeniowo ozdobnikiem, był rozmową z publicznością, słowami zapisanymi w ciele.

Każdy gest był ważny, miał znaczenie.

Stworzyliśmy przez te lat zgraną paczkę. Lubiliśmy i szanowaliśmy się wzajemnie. Byliśmy przyjaciółmi, którzy wspólnie robią teatr. Byliśmy Madźką, Joaśką, Mireczkiem i Przemciem, a Marian był i zawsze będzie dla nas Mariankiem. Teraz, kiedy nie ma go wśród nas, zastanawiamy się, co dalej. Czy nadal będziemy Teatrem Kilku Osób kontynuującym dzieło Mariana? Tego jeszcze nie wiemy, ale jedno jest pewne, że jakkolwiek potoczą się nasze życiowe i zawodowe losy, Marian zawsze będzie z nami. A my będziemy żyć tak, żeby mógł być z nas dumny.

Marianku, dziękujemy za wszystkie wspólne chwile, za siłę, jaką nam dałeś, za Twoją radość życia i optymizm. I wreszcie za teatr, którego jesteście częścią.

Twoi przyjaciele: Madźka, Joaśka, Mireczek, Przemcio (Magdalena Paszkiewicz, Joanna Pyziak, Mirosław Marciniak i Przemysław Sowa - Teatr Kilku Osób)